

Pszonka wychodzi dwa razy na miesiąc. Każdy oddział składa się z dwunastu półarkuszy, których cena dla emigracji franków pięć, za granicą złotych polskich dwanaście. Komu z emigrantów dogodniej, może rozdzielić opłatę nadwie części. Adres Redakcyi: M^r



Pszonka, Polonais, au Wacken, 10, à Strasbourg (Bas-Rhin). Można także zapisywać się i składać opłatę w Paryżu: w Redakcyi *Demokraty Polskiego*, w Księgarni Polskiej i u Ob. Jokisza; na prowincyi zaś u sekretarzy Tow. Dem. Pol.

PSZONKA.

USTĘP Z TRZECIEJ CZĘŚCI POEMATU.

BABY.

(Pszonka exorcyzmuje emigracyjnego diabła.)

DIABEŁ I.

Jeszcze pomąć im trochę.

DIABEŁ II.

Niechajże mię zjedzą
Jeśli, co robić, teraz się dowiedzą.
Nowa-Polska jak dawniej pluje w wszystkie strony,
Zjednoczenie pobożne niech plecie androny,
Narodowość nieszkodzi, do tego Maj Trzeci,
Biały-Osiół z Bruxelli niech z kopyta leci,
I wlażę w Tomkiewicza, a dla większej wagi
Dziennik niech rozpisuje na trzy piętra blagi.

DIABEŁ I.

Argument na argument, a co Demokrat?
Tirez-vous de la mon cher!

DIABEŁ II.

Ot, cicho do kata!
Pszonka idzie, cyt! przycup!

DIABEŁ I.

Ciociu! mamó! w nogi!

DIABEŁ II.

Czekaj, przedysputuję, tylko schowaj rogi.

PSZONKA (wchodzi).

Gdzie niewarto rozprawiać, tam wyszydzić można.
A tuśto mi plugastwo, czeredo bezbożna
Co trzęsiesz emigracją, ktoś ty, gadaj sama!

DIABEŁ.

Havre, Grudzią, Zjednoczenie, dwór króla Adama,
Sen-Simon, węglarz, masson, Buchez, komunista,
Fourier, Czyński, Czajkowski i podobnych trzystu.
Legio sum, mon pauvre Pchoncea parlez-moi français,
Parlato italiano, savez-vous danser,

Oddział III. Półarkusz 4.

Ja mein Herr, caballero respondere io.

PSZONKA.

O znam cię dobrze stu języczna żmijo,
A lotry na parawan, żaden mi niezginię,
Opiszę was jak węże, posadzą w Babinie.
(Rozkłada papiery i zaczyna pisać.)

DIABEŁ.

Porozumy się Pszonciu, o coż nam tu chodzi,
A wiesz ty, drogi Pszonciu, że się to niegodzi,
Gdy jeszcze ciężkie niezgojone blizny,
Śmiać się i szydzić na grobie ojczyzny. (po pauzie.)
Pisze a pisze, ach jak oczy wlepił;
Powiedz mi Pszonciu za coś się uczył.
A wiesz ty co się wkrótce z Czartoryskim stanie?
A chcesz Królikowskiego zrozumieć bazgranie?
Wiesz ty czemu w tym roku pogody niemamy?
Wiesz ty co w Zjednoczeniu znaczą trzy Adamy?
Daj odetchnąć mój Pszonciu, Pszonciu mój łaskawy,
Mój królu! Dobrodzieju! takiś nieciekawy.
Ja niemówię do pisma, masz dowcipu wiele,
Szarywary — i coż to, to przy tobie ciele.

PSZONKA.

Żeś pochlebstwem nałowił niegdyś liczne gapy,
Zamojskiego wdzięczeniem, podawaniem łapy,
I mnie się teraz łasisz!

DIABEŁ.

Pszonko dobrodzieju!
Verbum nobile, że aści niebrak na oleju,
Na włos Krukowieckiego, na Giełguda cięcia,
Na patryotyzm Lubeckiego księcia.

PSZONKA.

Klamco! ja ci tu prawdę zaraz wydrę z garla.
Coś zrobił z emigracją?

DIABEŁ.

Już dawno umarła.

To istna jest hołota, i mówić niewarto,
Zabawia się kieliszkiem, klubem, tańcem, kartą,
Stracona już dla kraju, próżna dla niej praca.

PSZONKA.

Kłamiesz!

DIABEŁ.

Emigracya, emigracya wraca.
Tylko trza się pogodzić, skończone cierpienia,
Ja w tym względzie tak wielkie miałem objawienia.
Sam tylko za granicą zostanę za karę,
Spytaj się Sobańskiego, bo mi niedasz wiare.

PSZONKA.

Mów co zbawi Polskę?

DIABEŁ.

Sam Carewicz ruski.

PSZONKA.

Kłamiesz, gadaj! bo pisze.

DIABEŁ.

Zbawi ją król pruski.

PSZONKA.

Gadasz, czy nie?

DIABEŁ.

Poczekaj.

PSZONKA.

Gadaj tu bez zwłoki.

DIABEŁ.

Jasn-widząca, magnetyzm, émy, mara, uroki.

PSZONKA (*zabierając się do pisania*).

Będziesz ty gadał łotrze!

DIABEŁ.

Już, już, gadam, gadam.

Praniewicz, Orpiszewski, zbawi ją król Adam.

PSZONKA.

Bierzmy się do pisania, przeciwią się duchy.

DIABEŁ.

Pszonko, jak najpewniejsze doszły mnie posłuchy
Że sam Mikołaj władzę mu udziela.
Albo emigracyjny sejmik Lelewela,
A jeżeli ci Pszonko i to niewystarcza,
To ją zbawi w Wersalu Rada gospodarcza.

PSZONKA.

Kłamiesz!

DIABEŁ.

Mój Pszonko drogi, idź ty do spowiedzi,
A dowiesz się wszystkiego, bo tam wszystko siedzi;
Bo chociaż ja, niechodzę.....

PSZONKA.

Milcz, profanatorze.

DIABEŁ.

Dochowasz mi sekretu, to ci się otworzę,
Przyznam, com dotąd mówił, wszystko to wybryki,
Czytujesz Zjednoczenia czasem okólniki:
Otoż zbawi komitet, lecz komitet stały,
Tylko żeby go zebrać, otoż to sęk cały.
Ach! za co ty mnie męczysz, to nie moja wina,
To ten łotr demokracja wszystkiego przyczyna,
To ona wywołuje niezgody i baśnie.
O gdybym ją raz dopadł, niech w nią piorun trzaśnie!
Ja sam płacę nad Polską, ja ją kocham szczerze,
Ja codziennie odmawiam za Polskę pacierze,
I kiedy emigrację z rozumu odzieram,
Ach! płacę, i ogonem wtedy lzy ocieram.

PSZONKA.

Gadasz co zbawi Polskę?...

DIABEŁ.

Polska!

PSZONKA.

Jaka?

DIABEŁ.

Nowa!

PSZONKA.

Kłamiesz.

DIABEŁ.

Młoda!

PSZONKA.

Gadasz czy nie?

DIABEŁ.

Otoż ani słowa.

PSZONKA.

Czekajże łotrze, ja ci na sucho łeb zmyję,
Wszystkie kłamstwa, oszustwa i głupstwa wykryję.

(*Pisze.*)

DIABEŁ.

Ach Pszonciu dobrodzieju, już ja gadam, gadam.
Ja się sam ze wszystkiego tobie wypowiadam.

PSZONKA.

Co zbawi Polskę, gadaj.

DIABEŁ.

Własności nadanie!

PSZONKA.

Komu?

DIABEŁ.

Ach! niewymówię!

PSZONKA.

Gadaj tu!

DIABEŁ.

Mój panie!

Niewymówię, mam chrypkę, ch...ch ..ch ..

PSZONKA.

Wyraźnie!

DIABEŁ.

Niemogę, jakim szlachcic.

PSZONKA.

Mów mi zaraz błźnie! (*pisze.*)

DIABEŁ.

Ch...ch...chamom!

PSZONKA.

Co jeszcze?

DIABEŁ.

Rząd wsparty na myśli....

PSZONKA.

Jakić?

DIABEŁ.

Niepowiem, lecz to się okryśli.

PSZONKA.

Gadaj!

DIABEŁ (*umierającym głosem*).

Demokratycznej!

PSZONKA.

Teraz ruszaj sobie.

DIABEŁ (*na stronie*).

Czekaj-no, niejednego jeszcze figła zrobię.

PSZONKA.

To wyznanie natychmiast ja zapisać muszę,
Na tych któremi trzęsiesz jeszcze je wyduszę.

SZLACHCIC Z GŁUPIA FRANT

Scena narodowa.

OSOBY: PAN ALEKSANDER, dziedzic. PAN JANUSZ, jego przyjaciel.
PODRÓŻNY, EMIGRANT.

Rzecz w Galicji.

PAN ALEKSANDER. Coś mi po żołądku kręci. Januszu, może-
byśmy przekąsili.

PAN JANUSZ. Gadasz dorzeczniej jak zazwyczaj. (Bierze hara-
pniczek ze świ staczką i ma już gwizdać, w tém słyhać turkot
powozu.)

JANUSZ. Ktoś przyjechał.

ALEKSANDER. A! prawda. Najtyczanka Wajsa, mego sąsiada. Ale to nie on, coś nieznanego... Oho! jestem już w domu! Żeby też tego Wajsa diabli wzięli. Już go tyle razy prosiłem: nie-przysyłaj mi nikogo; on zawsze swoje. Niemcowi zajechał w głowę polski patryotyzm.

JANUSZ. Kogo się domyślasz w tym gościu?

ALEKSANDER. A któżby jeździł obywatelską pocztą jeżeli nie Polak.

JANUSZ. Cóż w tym złego że Polak przyjedzie?

ALEKSANDER. Ale bo to widzisz... emigrant (chodzi szybko po pokoju, skrobie się w głowę). Biorą i biorą i wybrać niemogą. To prawdziwa klęska na naszą prowincję. Diabeł wie co z nimi robić. Przyjmij grzecznie? okrzyczą cię dobrym Polakiem, a wtedy się nieodzegnasz. Nieprzyjmij? zły Polak, Niemiec, Moskal, galgan, Bóg wie czym cię nienazwą. Ale! (staje chwilę, zamyśla się głęboko) wyboryny sposób, wyboryny! Zaczniemy z inną beczi. Spodziewam się, mój kochanku, że niedługo będziesz tu popasał. (Emigrant wchodzi.)

EMIGRANT. Czy mam przyjemność zastać gospodarza w domu?

ALEKSANDER. Ja nim jestem do usług.

EMIGRANT. Jestem podróżny. Przypadek w drodze....

ALEKSANDER. (Widząc niespokojność emigranta z powodu obecności trzeciej osoby, przerywa jemu.) Niech pan mówi z całą otwartością jakbyśmy sam na sam byli. Ten Pan to mój przyjaciel, równie dobry Polak jak i my.

EMIGRANT. Tę lepiej. Niepotrzebuję więc wywodzić się przed Panem, kto jestem. Łatwo się domyślić. Pan Wajs nagał mi tyle o jego polskich uczuciach, że niespodziewam się aby mój przyjazd sprawił mu jaką nieprzyjemność.

ALEKSANDER. Najmiliej mi, najprzyjemniej mieć w swoim domu podobnych koledze. Nieskończenie wdzięczny za jego zaufanie. Siadaj, szanowny kolego. Cóż będziesz pił, co jadł, zapewne spieszo ci dalej. Ale śniadanie może być bardzo prędko. Dokądże potrzebujesz koni?

EMIGRANT. Daruje Pan moją natrętność; po tym co o nim słyszałem, śmiem mu powiedzieć z prostotą i otwartością żołnierską, że potrzebuję koniecznie zatrzymać się kilka dni w jego domu: dwa, trzy dni tylko. Chodzi mi o porozumienie się z moją rodziną, która tu w bliskości mieszka, tuż za granicą: za kilka dni ułatwię cały interes. Niezrobiłoby Panu żadnej nieprzyjemności?

ALEKSANDER. Żadnej—tak — najmniejszej. O! z całego serca. Cóż są nasze nieprzyjemności w porównaniu z waszemi. Wy tyle cierpicie dla nas. Wprawdzie zapowiedziano mi wizytę cyrkularnego komisarza, ale może nieprzyjedzie. Z resztą będę naprzód wiedział. Czy palisz fajkę, kolego?

EMIGRANT. Jeżeli wolno. Pozwolisz więc, Obywatelu, ażeby zniesiono moje rzeczy; konie także muszą jak najprędzej odesłać, przyrzekłem.

ALEKSANDER. O to wszystko nietroszcz się kolego! Pozwól mi siebie wyręczyć, być gospodarzem w moim domu. Może co przekąsisz? do obiadu jeszcze daleko. Wszak przekąsisz, nieprawdaż? (gwiżdże, służący wchodzi.) Wódki, chleba i masła! (służący wychodzi.) Albo może lepiej jaki kawałek mięsa. Trochę dłużej zabawi, to prawda, ale do obiadu jeszcze daleko (wychodzi za służącym). Tomasz, rzeczy nieznosić, konie z przed ganku wjechać ale niewyprzęgać, ze śniadaniem niespieszyć się, aż za-wołam — rozumiesz?

SŁUŻĄCY. Rozumiem Jaśnie Panie.

ALEKSANDER (do siebie za drzwiami). Jaką tu zacząć rozmowę, aby go wyrozumieć i złapać za słowo? Czartoryski, Skrzynecki, Towarzystwo Demokratyczne, chłopci, własność, cokolwiek bądź! Z tymi Ichmościami prędką znajomość, łatwa sprawa. Co na myśli to na języku. Cokolwiek bądź (powraca)! Cóż tam, kochany kolego, słysząc?

EMIGRANT. Nic takiego czegobyście i obywatele niewiedzieli; tak sądzę. Duch publiczny, dzięki Bogu, o tyle się podniósł, że wiadomość publicznych rzeczy prędko się rozchodzi. Wątpię żebym miał coś nowego powiedzieć.

ALEKSANDER (do siebie). Jakiś roztropny i zimny. Sprawa z nim będzie trochę przytrudna (głośno)—Arystokracya podobno głowę podnosi w emigracji. Cóż o tym sądzisz?

EMIGRANT. Jak dotąd nieschyłała jej. Takie przynajmniej moje zdanie. Z resztą dzisiejsze położenie Polski daje wszystkim do czynienia. Każdy robi jak mu się zdaje najlepiej. Czas dopiero pokaże, kto praw, kto krzyw.

ALEKSANDER (do siebie). O! dla Boga! Jakiś pieczeniarski! nie-uratuje podobno śniadania (głośno). Skrzynecki umknął z Pragi, ma już być w Brukseli. Ten człowiek może jeszcze zagrać wielką rolę; tak niektórzy utrzymują.

EMIGRANT. Przynajmniej szlachetną, jeżeli zechce. Polska sprawa niezamyka swoich szranków żadnemu poczciwemu.

ALEKSANDER (coraz niespokojniejszy, frze się ręką po czoło). Rozchodzi się tu Manifest Towarzystwa Demokratycznego. Zapewne go czytałeś. Jakże go znajdujesz?

EMIGRANT. Wszystko mam za dobre, cokolwiek dziś się pisze z czystego, sumiennego przekonania, ze szczerej miłości ku całemu ludowi polskiemu. Dzisiejsze nasze pisma, jeżeli nie inną, to mają tę zaletę że wyrabiają wszechstronnie opinię narodową w żywotnych zagadnieniach naszej sprawy, rozjaśniają złą i dobrą jej stronę. A lepiej że się to dziś odbywa, jak w chwilach jawnego działania.

ALEKSANDER (do siebie). Dyplomata! na mój honor. Nic z nim podobno nie zrobię. Jeszcze go dotąd niewysądowałem, a już mi i konceptu braknie Trzymajmy się jednak (głośno). Gdzie kolego najwięcej bawiles?

EMIGRANT. W Zaleszczyckim.

ALEKSANDER. I Byłeś tam zapewne podczas owego sławnego buntu chłopów?

EMIGRANT. W samą rzecz byłem w kilku miejscach świadkiem tego zdarzenia, którego buntem nazwać niemożna. Gromada zbierała się, przychodziła do swojego dziedzica i oświadczała mu że niechce robić pańszczyzny jaką jej narzucono. Wszystko działo się z pewną przyzwoitością, z pewną godnością ludzi, którzy opierają swoje żądania na sprawiedliwości.

ALEKSANDER (na stronie). Ha! Demokrata! Mam cię więc (głośno). Jakto kolego; to utrzymujesz że ich żądania były sprawiedliwe?

EMIGRANT. I ty sam, obywatelu, nieinaczej będziesz sądził, jeżeli wyjdiesz ze stanowiska interesu osobistego, jeżeli zrozumiesz tę rzecz nie jako szlachcic, nie jako dziedzic, nie jako pan chłopów, ale jako człowiek, jako Polak.

ALEKSANDER. Darujesz, kolego, kiedy ci powiem, naprzód: że w jednej osobie mogą się pomieścić i szlachcic i dziedzic i człowiek i Polak.

EMIGRANT. Nic pewniejszego, ale....

ALEKSANDER. Za pozwoleniem. Powtóre: że gdybym nawet był luminarzem demokratycznym, nieby mi nieprzeszkadzało zdrowo sądzić o rzeczach; nazwałbym wszelkie nastawianie na cudzą własność, na cudze dobro, gwałtem, niesprawiedliwością, łupieżstwem.

EMIGRANT. Ależ, obywatelu, własność i dobro mogą być nabyte prawnie i nieprawnie, a wtedy....

ALEKSANDER. Niejesto rzecz ani tej chwili, ani nasza rozbić i znosić wyroki niebios. Demokratycznego nawet rozumu nieuznaje za najwyższą w tej sprawie instancję.

EMIGRANT. Zdaje się że obywatel chce przymawiać mojej demokracji, ale o to mniejsza; więc podług niego pozostanie pierwszeństwo przy głupocie arystokracji.

ALEKSANDER. Panie, to za wiele.

EMIGRANT. Niespodziewam się żebyś obywatel brał do siebie, co tu o arystokracji powiedziałem.

ALEKSANDER. A ja wręcz panu oświadczam że do siebie to biorę, i wiem że w tym jego chęć wypełniam. Bardzo mi przykro że pierwsza chwila poznania się naszego, oddali nas od siebie może na zawsze; ale po takim wypowiedzianiu się wzajemnym trudno nam być razem.

EMIGRANT. Co ma znaczyć: pożegnajmy się! wszak tak?

ALEKSANDER. Darujesz Pan moją polską otwartością, ale

przy takiej różności opinii politycznych, mój dom niebyłby dla niego przyjemnym pobytym. Pan jesteś Demokrata, ja dziedzic, szlachcic. Może to i źle, ale największa za to wina na moich przodkach.

EMIGRANT (usmiechając się w duchu). A pokuta może być na zadkach (głośno). Obywatelu, całe to uniewinienie nie jest potrzebne ani dla ciebie, ani dla mnie. To niezupełnie po polsku. Ja sądzę że najprościej było powiedzieć: ty przyjaciel chłopów, ja ich pan; niema więc zgody między nami; tłumok twój na wózku, konie zaprzężone, ruszaj sobie z Bogiem. Upadam do nóg pańskich.

ALEKSANDER. Ale śniadanie, zjedz przynajmniej śniadanie, kolego. I tego niechcesz. Nielaskaw jesteś; bardzo mi przykro, co zrobić? Przynajmniej nie mam sobie nic do wyrzucenia. Co się tydzie moich opinii—moja opinia jest moim sumieniem; nie godzi mi się jej zaprzec. Do widzenia. Odjechał. (Do Janusza). A cóż, zła taktyka? Ciężko mi jednak szło z początku. Poczuwając! Będzie obwoływał, że czarny Arystokrata, a ja poprostu, chciałem tylko pozbyć się go z domu.

JANUSZ. A jak na Arystokratę trafisz?

ALEKSANDER. To udam Demokratę.

JANUSZ. Niedarmo nam panuje Meternich.

SĄ DZIWIY NA ZIEMI I NIEBIE

O KTÓRYCH ANI SIĘ ŚNIŁO NIEBU I ZIEMI,

CZYLI

ROZJAŚNIENIE NIESKOŃCZONEJ W ZAPRZESZŁYM PÓLARKUSZU
DEPEZJI TELEGRAFICZNEJ.

Onego czasu zeszło nad polskim narodem ni ztąd ni zowąd dwa słońca—dwa na raz, a na tych dwóch słońcach pokazało się dwa bogi—dwa na raz: jeden bóg nazywa się Adam Mickiewicz, drugi bóg nazywa się Julijusz Słowacki. Onego czasu zdarzyło się że dwaj bogowie pokłócili się, jak poeci—wierszami, o co? bogi tylko mogą wiedzieć o co się bogi kłócą. W tym gniewie Słowacki plunął poematem: *Beniowski*. Na kogo? Niewiemy. Dosyć że się dostało całemu stworzeniu; między innemi kilka kropel padło na jednego z kapłanów nieboszczki *Młodziej-Polski*, który się zowie P. Ropelewski. P. Ropelewski wziął to sobie za obrazę honoru, i wyzwał Słowackiego na pojedynek: nadszedł na to P. Ludwik Plater i pogodził obie strony. Cóż ztąd za sens moralny? Nie jeden—głównie jednak trzy:

1° że są bogowie polskiego narodu, o których on nic a nic nie wiedział;

2° że w *Młodziej-Polsce* był honor, o czém on także wątpił;

3° że tego wszystkiego niemożna sobie inaczej wytłumaczyć, tylko że są cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło ziemi i niebu.

BARASZKI.

Donoszą z Warszawy że system dziesiętny został zaprowadzony w całej Moskwie i Polsce, ale nie co do miar i wag, ale wykreśleń i kar. *Gazeta-Warszawska-Poranna*, pod dniem 1/13 marca 1841 r. tak o tém pisze: « Najjaśniejszy Pan Mikołaj I, cesarz Wszech Rosyi, król Polski, z okazji zaślubin Najjaśniejszego syna swego, Następcy tronu Cärewicza Aleksandra, z Najjaśniejszą Maryą księżniczką z domu Darmstadt, raczył najlaskawiej złagodzić kary tym wszystkim, którzy w ostatnich czasach za polityczne przestępstwa skazani na nie zostali, a to podług następującego rozkładu:

Skazani na Syberyę odbiorą knuty,
Skazani na knuty odbiorą baty,
Skazani na baty odbiorą kiję.

« Aby zaś ta szczodroblliwość ojcowska mylnemu nieuległa tłumaczeniu, Najjaśniejszy Pan kazał dołączyć taryfę, podług której to Jego najmiłościwsze postanowienie wykonane być winno. Jakoto:

Rok Syberyi równy jest 10 knutom,

Jeden knut — — 10 batom,

Jeden bat — — 10 kijom

czyli Rok Syberyi — — 1000 kijom.

« Gubernatorowie wydali polecenia, aby po wszystkich kościołach i cerkwiach zaintonowano *Te Deum*. na podziękowanie Bogu, za tę nową łaskę najmiłościwszego Monarchy. »

— Nieraz zdarza się słyszeć pytanie: Coby też się stało z Chrystusem, żeby się w naszych czasach pokazał?... Nam się zdaje że w Prusiech strzelanoby do niego jak w r. 1831 do Polaków w Fischau; w Austrii sami księża Jezuici podaliby go rządowi na umęczenie w Kufstein lub Spilbergu; a w Moskwie byłby zesłany na Syberyę, albo skazany na karę systemu dziesiętnego.

— Kom. kor. zawiodłszy okropny lament na obojętność *Zjednoczenia*, zadaje sobie pytanie: Miałaby się sprawdzić przepowiednia Centralizacji że bez żandarmów nic z naszym *Zjednoczeniem* nieporadzimy? Jeszcze chwila cierpliwości, a odpowiedź sama się znajdzie.

— Do znanych rodzajów dowcipu: płaski, gruby, delikatny, przybył — śmierzdzący, a to od czasu jak faryzeusze wydający *Zjednoczenie* zaczęli puszczać pogromki.

— Ktoś chciał dowiedzieć się koniecznie: po co się *Zjednoczenie* jednoczy; nuż więc czytać pisma *Zjednoczenia*: Nową-Polskę, Orla-Białego, *Zjednoczenie*, Okólniki kom. kor., Manifesta Hajdamackie, itd., itd. Jakież było jego zadziwienie, kiedy w *Zjednoczeniu*, zamiast *Zjednoczenia* znalazł najoczywistsze *Rozjednoczenie*; bo *Nowa-Polska* pojmuje *Zjednoczenie* inaczej, a *Orzeł-Biały* inaczej, a *Zjednoczenie* inaczej, a kom. kor. jeszcze inaczej, a *Hajdamaki* znowu inaczej, a wszyscy jak pies z kotem nienawidzą się wzajem. Ci panowie, rzekł, dla tego tylko widać zbliżają się do siebie, żeby tém wygodniej zreć się i gryźć się mogli.

— *Dziennik-Narodowy* oświadcza, że dla tego niejest ani demokratą, ani arystokratą, że dotąd niewie jeszcze co w przyszlę Polszcze górę weźmie. I powiadają że *Dziennik-Narodowy* nieszczęry.

— *Trzeci-Maj* pisze: « W tej chwili odbieramy od naszego korespondenta z Warszawy piosnkę: *Czarna Sukienka*, świeżo przez jednego z poetów krajowych napisaną, i t.d. » Dobrą próbką wiarygodności stosunków *Trzeciego-Maja* z krajem, i zarazem jego znajomości w literaturze ojczystej. Ową *Czarną Sukienkę* napisał i ogłosił drukiem we Francyi w pierwszych jeszcze latach emigracyi, emigrant K. Gaszyński.

— Jaka jest najwybitniejsza cecha świstka *Zjednoczeniem* zwanego? że wciąż gada o miłości braterskiej, a zjeje najwścieklejszą nienawiścią przeciwko braciom.

Redakcja *Pszonki* uprasza swoich prenumeratorów o bezzwłoczne złożenie przypadającej od nich należności: osobom u których się zapisali, lub przesłanie jej w mandatach pocztowych wprost do Redakcyi, pod adresem *M. Pszonka, Polonais, au Wacken, 10, à Strasbourg (Bas-Rhin)*.